

## Wprowadzenie

**N**ie jest łatwo pisać o nieprzystających do siebie światach. O swoim, znanym i przećwiczonym na własnej skórze, oraz o obcym, też wprawdzie znanym, ale z podróży, książek i filmów. A to przecież jednak nie to samo. Musi zatem zdumiewać łatwość, z jaką różni eksperci od tych nieznanych nam krain ferują swoje sądy na podstawie stypendialnych pobytów spędzanych w zaciszu tamtejszych uniwersyteckich bibliotek. W takim przypadku, jak się wydaje, uczciwsze byłoby przedstawianie swojego oglądu obcej rzeczywistości w formie diariusza podróży, nie zaś aspirującej do wszytkowiedzącej lub przewidującej ekspertyzy.

Przedmiotową ostrożność dyktują nam dwa względy. Pierwszy bierze się z przekonania, że niemal każdą myśl można przypisać jakiemś wcześniejszemu badaczowi. I zawsze też można znaleźć kogoś, kto pracował już uprzednio nad zagadnieniami, którym aktualnie poświęcamy naszą uwagę. Stąd uznanie przysługuje nie temu, kto o nich

wspomni, najczęściej zresztą w sposób niezobowiązujący, ale temu, kto potrafi nadać nowy kształt rozrzuconym klockom wiedzy innych. Pouczający jest tu przykład Karola Darwina. We wstępie do swojego dzieła, któremu – jak wiemy – przypadła rola przewrotu w naukach przyrodniczych, czyli *O powstawaniu gatunków*, uczonego ten zauważa, że przedstawione fakty nie do końca są oryginalne. Dopiero ich konsekwencje wydają się mu „interesujące”, jak ujmuje to z charakterystyczną dla ery wiktoriańskiej skromnością. W ostatecznym rozrachunku osiąga bowiem sukces nie ci, którzy jedynie sumują wnioski innych, ale ci, którzy potrafią dostrzec i wykazać *novum* w prezentowanym przez siebie ujęciu. Dopiero oni mogą wypowiadać się na (za)dany temat.

Drugi wzgląd jest ogólniejszej, metodologicznej natury. W znakomitej większości badań odnoszących się do nauk społecznych obserwujemy wychodzenie od ogółu do szczegółu. Przyjmuje się w nich określony model teoretyczny za punkt wyjścia i narzucając go rzeczywistości, zaczyna kategoryzować, zamiast zacząć od rzeczywistości i przechodząc od szczegółu do ogółu, sprawdzić, co pasuje do naszego modelu. Owo rozróżnienie błędnie stosowane w praktyce badawczej przypomina inny podział na to, co ekonomiści nazywają knightowskim ryzykiem (możliwym do wyliczenia) i knightowską niepewnością (niemożliwą do wyliczenia).

Przedmiotowe podejście zakłada, że wszystko w dziedzinie prawdopodobieństwa można skalkulować, podczas gdy w rzeczywistości wszystko jest w zasadzie niepoliczalne, a już na pewno takimi są zdarzenia rzadkie, które ekonomiczny wokabularz od niedawna określa mianem *czarnych łabędzi*. O przywołanym sposobie dowodzenia Nassim Nicholas Taleb pisze dosadnie, że trzeba upaść na głowę, aby sądzić, że prawdopodobieństwo przyszłych zdarzeń jest możliwe do zmierzenia w analogiczny sposób, w jaki za pomocą termometru można zmierzyć temperaturę.

Uświadczenie sobie wszystkich tych niebezpieczeństw nie powinno nas jednak odstraszać od ryzyka podjęcia nowego wyzwania

naukowego. Wypłynięcia, używając tu literackiej przenośni, na szerokie (lub głębokie) wody badawcze. Także wtedy, a może nawet zwłaszcza wtedy, gdy korzystając ze znanego w psychologii rozróżnienia na akty działania i akty zaniechania, wahamy się przed wkroczeniem na *terra incognita*. Jest bowiem właściwością ludzkiego umysłu, że nie traktuje obu części rzeczoności przeciwstawienia jednakowo, choć z ekonomicznego punktu widzenia są one przecież równoznaczne. Złotówka, której nie straciliśmy, to przecież złotówka, którą zarobiliśmy.

Ów poznawczy fenomen i związane z nim wątpliwości badawcze dobrze oddaje zestawienie dróg rozwojowych dwóch, wydawałoby się odległych od siebie nie tylko geograficznie, organizacji międzynarodowych: Unii Europejskiej (UE) oraz Stowarzyszenia Narodów Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN). Już sam zamysł szukania między nimi organicznych pokrewieństw wydaje się niedorzeczny. Cóż bowiem może łączyć świat, w którym władzę otacza *quasi*-religijny nimb, ze światem wypisanej na rewolucyjnych sztandarach buntowniczej nieufności wobec wszelkiego władztwa? Albo świat, w którym uznane za chwalebne dążenie do osiągnięcia harmonii i przedkładanie konsensusu w społeczeństwie nad spór zderza się ze światem ostrej rywalizacji między jednostkami i wytłaczanie wszędzie, gdzie to w życiu zbiorowym tylko możliwe, swojego indywidualnego stempla?

We wszystkich wypowiedziach dotyczących ustroju społeczno-politycznego tytułowych państw Azji Południowo-Wschodniej zwraca uwagę podnoszenie za każdym razem argumentu o ich specyfice cywilizacyjnej. Tak jest bez wątpienia. Ale skoro w państwach tych znajdują zastosowanie reguły rynkowego działania gospodarczego z równym powodzeniem, jak w reszcie świata, to wolno przyjąć, że nie inaczej może być w przypadku politycznego kanonu ustrojowych rozwiązań instytucjonalnych. Ta nadmierna ostrożność w ocenie tamtejszych urzędzeń politycznych bierze się bowiem stąd, że ulegamy nazbyt łatwo przekonaniu, iż odmienność kulturowa w danym kraju przekłada się automatycznie na unieważnienie fundamentalnych dla rozwoju

cywilizacyjnego takiego państwa uniwersalnych reguł gry politycznej. Tak, jakby dążenie do zapewnienia sobie najlepszych warunków własnego rozwoju nie charakteryzowało całej ludzkości, bądź tak, jakby potrzeba sprawiedliwości nie była immanentną cechą nas wszystkich.

Równie wiele daje do myślenia obserwacja przebiegu procesów demograficznych sprzężonych z rosnącym poziomem wykształcenia, a uznanych jako podstawa rozwoju gospodarczego. Nie jest przecież kwestią przypadku, że kraje najszybciej nadrabiające dystans do Zachodu – „azjatyckie tygrysy” i Europa Środkowa – mają wśród wszystkich rynków wschodzących najniższy wskaźnik dzietności i zarazem najszybszy przyrost odsetka wykształconych mieszkańców. Pozwala to na sformułowanie wniosku, że o ile powstawaniu idei i wiedzy sprzyja – stosownie do efektu skali – duża liczba osób, o tyle akumulacji wiedzy dopomaga zmniejszenie populacji. Mówimy tutaj o tym nie bez kozery, ponieważ przykłady te dobrze, jak wolno przyjąć, ilustrują tezę, że niezależnie od szerokości geograficznej i uwarunkowań kulturowych wszędzie zachodzą te same procesy społeczne.

Akumulacja kapitału ludzkiego jest najważniejszym filarem rozwoju. To możemy przeczytać w każdym podręczniku ekonomii. Nie znajdziemy w nich jednak przepisu, według którego podjęte działania prorozwojowe można by zakwalifikować jako niezawodne. Nadal nie potrafimy bowiem ze stuprocentową pewnością udzielić odpowiedzi na pytania: w jaki sposób zapewnić rzeczony rozwój? Jak go z powodzeniem urzeczywistniać oraz za pomocą jakich wreszcie narzędzi zapewnić jego ciągłość i wzrost? Tymczasem są to pytania fundamentalne. Mierzą się z nimi naturalnie także Unia Europejska oraz Stowarzyszenie Narodów Azji Południowo-Wschodniej.

Udzielane odpowiedzi, i tu, i tam, które znajdujemy w literaturze przedmiotu, sugerują, że mamy do czynienia z obiorem dwóch różnych dróg rozwojowych. Wnikliwa analiza komparatystyczna przeczy jednak takim wnioskom. ASEAN nie tylko bowiem przechodzi kolejne etapy integracji jak UE, ale i powiela jej rozwiązania, choć – co

oczywiste – nie wszystkie bądź nie w takiej skali, jaką znamy z zastosowań unijnych. Mało tego, nie jest nawet wolny jako organizacja od powtarzania schorzeń charakteryzujących Unię. Czyż nie daje wiele do myślenia, *ceteris paribus*, fakt gęstniejącej struktury biurokratycznej ASEAN?

Do wstrzemięźliwości przy powtarzaniu wzmiankowanej oceny skłania nas ponadto odrzucenie znanego z nauk przyrodniczych schematu myślenia monokauzalnego. Przyjęcie w badaniu występowania jedynej zaledwie przyczyny sprawczej w roli czynnika rozwoju dziejowego bądź przemian społecznych, politycznych i gospodarczych obarczone jest bowiem ryzykiem całkowicie nietrafnego rozpoznania danego zjawiska lub procesu. Gdyby bowiem wszystko miało być takie proste, jak czytamy w wielu scenariuszach rozwoju, to każdy kraj byłby bogaty. A przecież nie jest.

Stąd próba znalezienia wyjścia z różnych pułapek rozwojowych, w jakich znajdują się kraje członkowskie ASEAN, pozostaje nadal głównym wyzwaniem dla solidarności wspólnotowej. To, czy można z nich bowiem wyjść, zależy od wielu czynników, z których nie wszystkie pozostają w zasięgu wpływu państw członkowskich. Podstawowe zatem pytanie co do wyboru strategii działania na rzecz rozwoju da się ostatecznie sprowadzić do ustalenia, gdzie leży nasze pole wyboru, a następnie wykreślenia jego granic: co możemy, a czego natomiast nie. W przeciwnym razie nie pozostanie nic innego, jak zdać się na żywienie się fantasmagoriami rozwojowymi. Od tego tymczasem, jak wszystko na to wskazuje, kraje ASEAN odzegnują się, jak tylko potrafią. Także korzystając z doświadczeń Unii Europejskiej.